Nr. 22. Lwów, 16. listopada 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Sprzedaż dziczyzny
w mieście Lwowie.

Podrożało mięso wołowe, oto najnowsza nowina ze świata zaopatrującego lwowian w potrzebne siły fizyczne. Podrożało więc ono nie tylko w Wiedniu, lecz także w naszem stołecznem mieście Lwowku. Różnica polega tylko w tem, że kiedy w Wiedniu, zanim podrożenie ciałem się stało, wszystkie dzienniki na gwałt dzwoniły, u nas we Lwowie panowie rzeźnicy cichaczem się do dzieła zabrali i nim jakie czasopismo o tem się dowiedziało, już podwyższenie cen w życie wprowadzili. Energia się chwali. Nasze gospodynie niczego nie przeczuwając, znalazły się pewnego pięknego poranku przed dokonanym faktem i tak im to energiczne postąpienie mięsodawców zaimponowało, że chociaż w domu wobec mężów energiczne żądania co do podwyższenia kwoty na kuchnię przeznaczonej podniosły, to do samodzierżczej roli panów rzeźników bez opozycyi jak trusie się zastosowały i składają codziennie swój obol w przymuszonym darze.

Tymczasem rubryka „mięso“ odgrywa w pożywieniu przeciętnego mieszczucha, nie hołdującego jarskiej kuchni, bardzo poważną rolę i każde podwyższenie tego niezbędnego artykułu wpływa ujemnie na budżet małych i mniejszych gospodarstw. Mięso nie tak łatwo inną substancyą zastąpić — przepraszam za to twierdzenie wszystkich panów wegeteryanów, tak męskiego, jak żeńskiego rodzaju — otóż rozmaici i rozmaite stawiają sobie pytania, w jaki sposób skutkom podrożenia mięsa zapobiedz można i należy. W pierwszym rzędzie zabrała się do dzieła, w sposób nader energiczny, Rada gminna sławetnego miasta Lwowa i wybrała nawet komisyę, noszącą tytuł „drożyźnianej“ *(nomen est omen)*. Komisya ta wybrana jeszcze przed rokiem, śpi snem błogosławionego, o czem panowie rzeźnicy dobrze pouczeni, zadali jej środek jeszcze bardziej usypiający, t. j. podwyższyli ceny. Komisya nie obudziła się istotnie. A zresztą pocóż, czyż na to, by złe języki twierdziły, że kruk krukowi nie... odbierze mięsa. Komisya drożyźniana śpi więc dalej. Natomiast zmuszona jest publiczność sama radzić sobie jak może, a my z na-

szej strony widzimy znaczne ułatwienie budżetów domowych i odpowiedź na postawione pytanie w zwiększonej konsumcyi: dziczyzny.

Dziczyzna stanowi dotychczas jeszcze wrzekomo pożywienie klas w mamonę obficiej obdarzonych. Kto jada dziczyznę, tego *vox populi* we Lwowie zalicza do ludzi majętniejszych, chociaż zupełnie niesłusznie. Przyczyna leży wrzekomo w wysokich cenach dziczyzny. Dziczyzna, powiada publiczność, jest drogą, a drogich rzeczy biedak pozwolić sobie nie może. Ten sąd wbił się tak w zapatrywanie publiczności, że ciągle powtarza ona to samo, nie przekonawszy się, że stosunki dzisiaj bardzo się zmieniły. Cena zwierzyny pozostała bowiem taka sama, jak była przed 15 laty. To mniemanie podówczas istotnie było uprawnione wysoko, albowiem mięso wołowe było tańsze od dziczyzny, a raczej tej ostatniej trudno było dostać. Dzisiaj stosunki się znacznie zmieniły. Mięso zwierząt domowych podskoczyło do góry i przewyższyło w cenach obecnie w wielu punktach dziczyznę i dzisiaj z całym spokojem stwierdzić można, że mięso zwykłe i dziczyzna zamieniły role. Kiedy dawniej dziczyzna była artykułem luksusowym, to dzisiaj zaczyna być odwrotnie, mięso wołowe zaczyna być artykułem luksusowym.

Dziczyzna dzisiaj nie jest więc droższą od mięsa wołowego lub cielęciny, za które we Lwowie 1·45 i 1·60 kor. za 1 kg. się płaci.

Dziczyzna jest bardzo zdrowem pożywieniem, wiadomo bowiem, że panowie Eskulapowie zalecają żołądkowcom dziczyznę, jako pożywienie bardzo strawne i dla nich przydatne.

Dziczyzna u nas w Galicyi jest coraz częstszą, albowiem nasze polowania, pozostające pod starannym dozorem tak samych właścicieli, jak ustawy i wykonujących ją czynników, z każdym rokiem się podnoszą i wskutek tego znaczniejszej ilości zwierzyny dostarczyć mogą. Postęp w tym kierunku jest istotnie znakomity.

Jednakże znaczna ilość ubitej zwierzyny wędruje zamiast do miasta Lwowa, niestety do rozmaitych obcych bogów, wzmacniać obce żołądki i siły. Do Lwowa przybywa tylko bardzo mała część, a wskutek tego zapatrywanie na dziczyznę, że jest artykułem luksusowym, nie mogło się jeszcze dotychczas zmienić. Oprócz tego znaczną część zwierzyny rozdziela się w bardzo wielu gospodarstwach, zaraz po polowaniu, między uczestników polowania, dobrych znajomych i własny personal. Rozdzielona dziczyzna zostaje wprawdzie zużytkowaną, ale postępowanie to wskazuje, że i u producentów nie uznaje się dziczyzny jeszcze jako artykułu handlu powszechnego, ani też nie przyznaje jej znaczniejszej wartości ogólnej.

Z powyższego przedstawienia wynika więc, że dziczyzna jest artykułem tańszym od zwykłego mięsa, pożywieniem zdrowem i można jej w większych ilościach dostać. Wynika więc z tego w dalszej konsekwencyi, że wobec obecnego podrożenia zwykłego mięsa nie ma najmniejszego powodu, ażeby jej biedniejsza ludność kupować nie miała. Jestto, jeżeli już i z tego punktu widzenia na sprawę zapatrywać się będziemy, również produkt krajowy, uprawniony do uwzględnienia wobec dzisiejszych prądów do usamodzielnienia kraju.

Wobec tych dowodów musimy przyjść do zapatrywania, że dziczyzna wobec cen, do jakich zwykłe mięso obecnie doszło, z całą łatwością posłużyć może jako artykuł żywnościowy, mięsny i dla biedniejszej klasy ludności miasta Lwowa, jak niemniej do zaopatrywania wszystkich publicznych zakładów, jak szpitalów, domów ubogich etc.

Mimo to jednak do Lwowa dotychczas jeszcze mało dziczyzny nadsyłają tak, iż ona dzisiaj nie może jeszcze wcale stać się artykułem pożywienia dla obszerniejszych kół ludności miejskiej.

Dziczyzna sprowadzana do obrębu miasta Lwowa, podobnie jak wszystkie inne artykuły żywności, musi opłacać daninę w formie podatku konsumcyjnego, czyli „akcyzę".

Zanim do omawiania pojedynczych pozycyi rzeczonego podatku przystąpimy, przypatrzymy się więc najsamprzód cenom, jakie na prowincyi dotychczas za patroszoną zwierzynę bywają płacone.

Zając kosztuje 1·50 1·80 k.; sarna w zimowej koży, duża t. j. nad 14 kg. wagi około 13·00 k., średnia, t. j. poniżej 15 kg. wagi około 11·00 k.; dzik trzy- i więcej letni około 20·00 k., dwuletni około 16·00 k., zaś jednoroczny z zimowych polowań 6·00—10·00 k.; jeleń w zimowej koży, duży, t. j. nad 100 kg. wagi około 25·00 k., średni od 60—100 kg. wagi około 20·00 k., mały poniżej 60 kg. wagi około 15·00 k. od jednej sztuki.

Podane ceny na miejscu produkcyi tj. u dzierżawców polowań obliczone na 1 kg. dziczyzny, przedstawiają wartość przeciętną: u zająca na 60—80 h., sarny 0·70—1·00 kor., jelenia około 50 h., a dzika ledwie 30 h. od 1 kg.

We Lwowie do cen na prowincyi płaconych doliczyć należy jeszcze koszta przesyłki dziczyzny z prowincyi, zarobek handlarza, a w końcu ustanowiony podatek konsumcyjny. Na kosztach posyłki i miernego zarobku handlarza nie da się nic zmienić. Natomiast życzyćby należało, ażeby istniejący podatek konsumcyjny odpowiednio zmieniony został. W dzisiejszej formie nie odpowiada on w wielu wypadkach istotnej wartości zwierzyny, zaś w zasadzie układany był swego czasu jak dla artykułów uważanych podówczas za zbytkowne.

Lwowska taryfa podatków konsumcyjnych przedstawia następujące dla nas ważne pozycye:

poz. 19. Zwierzyna, jelenie, sztuka . . . . 3·95 kor.
„ 20. Dziczyzna, dziki od 17 kg. i wyżej, tudzież daniele, 1 sztuka . . . . . 2·80 „
„ 21. Dziczyzna, warchlaki, sarny, dzikie kozy (sic), sztuka . . . . 0·95 „
„ 22. Dziczyzna, zające, 1 sztuka . . . . 0·20 „

W wielkiem przecięciu podnosi podatek spożywczy, czyli „akcyza" cenę dziczyzny o 10—15% wartości zakupna jej na prowincyi.

Koszta przesyłki podnoszą cenę o dalsze 5—10%, a to stosownie do tego, w jaki sposób ona przesyłana bywa. Najdroższym sposobem jest posyłka pocztowa, najtańszym kolejowa, a w szczególności przyspieszona, opłatna za pomocą marek.

Zarobek handlarza trzeba również w wysokości co najmniej dziesięciu procent w rachubę przyjąć. W ten sposób podniesie się wartość zwierzyny zakupionej na prowincyi, na targu we Lwowie o 25 do 35% swej pierwotnej ceny, czyli, że zając kosztuje 2·00—2·50 k.; sarna duża około 18·00—20·00 k., średnia 14·00—15·00 k.; dzik duży około 30·00 k., średni około 25·00 k., mały około 15·00 k.; jeleń duży powinien kosztować około 32·00 k., średni około 24·00 k., a mały około 20·00 k. za jedną sztukę. Obliczywszy od 1 kg., zatem w sprzedaży drobiazgowej, kosztuje dziczyzna z zająca około 0·70—0·90 k., sarny od 1·00—1·30 k., jelenia około 0·65 k., dzika około 0·40 k.

Te ceny, porównane z cenami za zwykłe mięso obecnie we Lwowie płaconemi nie usprawiedliwiają więc wcale twierdzenia, jakoby zwierzyna była droższą. Owszem, ceny za dziczyznę płacone są o 10 do 60% i więcej, niższe od mięsa wołowego, a tem bardziej cielęciny lub wieprzowiny. Nie ma więc najmniejszego powodu, dlaczegoby publiczność lwowska miała się ociągać z kupowaniem dziczyzny na zwykłą domową potrawę. Niektórzy trudność w rozszerzaniu się tego rodzaju pożywienia widzą w znaczniejszych kosztach przyprawy i nieumiejętności obchodzenia się gospodyń z przyprawami. Pierwszy zarzut nie ma uprawnienia, gdyż koszta przyprawiania dziczyzny są takie same jak mięsa wołowego. Natomiast drugi powód ma większe uzasadnienie. W przeważnej ilości wypadków gospodynie kół niższych istotnie nie potrafią dziczyzny należycie przyprawić. Lecz to nie jest jeszcze poważnym powodem przeciw rozszerzeniu się dziczyzny jako pożywieniu. Gdzie kwestya staje na punkcie ekonomiczności, tam znajdą się niebawem sposoby i środki nauczenia się tego, czego się nie umie.

Przypatrzmy się jednak nieco bliżej ustanowionemu podatkowi spożywczemu za zwierzynę. Uderza nas tu brak rozgatunkowywania co do wielkości. Czy jeleń wielki o 250 kg., czy mały o 40 kg. wagi, podatek spożywczy jest zawsze jeden i ten sam i wynosi 3·95 k. Obciąża on więc dziczyznę z jelenia wielkiego od 1·5—2 h., podczas gdy z jelenia małego o 11—15 h. na 1 kg. Wskutek tej nierówności jeleń młodszy, a więc i smaczniejszy znieść może koszta dalszej podróży, a więc przypuśćmy do Wiednia, zaś do Lwowa dojechać może tylko stary, mniej smaczny jeleń. Dla Galicyi sprawa co do jeleniny jest na razie jeszcze mniejszego znaczenia, ale prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości stanie się aktualną — skoro czas ochrony dla jelenia skrócony zostanie, a do tego przyjść musi. W obecnych warunkach to samo co wyżej o jeleniu powiedziano, dotyczy także sarny, lecz jeszcze więcej dzika, który wprawdzie rozgatunkowany został, lecz z jakim wynikiem, pokaże następujący wywód. Za warchlaki do 17 kg. płaci się tak samo jak i za sarny 0·95 k., natomiast za dziki powyżej 17 kg. wagi bez różnicy 2·80 k. Warchlak poniżej 17 kg. wagi, to chyba śledziennik i nic nie wart, zaś warchlak jesienny, jako tako wyhodowany, posiada z pewnością około 25 kg. wagi.

Sprawę podwyższenia cen dziczyzny najłatwiejby ubić można, jeżeliby podatki spożywcze zniesione zostały. Ale o tem nie ma mowy. Państwo i miasto potrzebują pieniążków i nawet w przyszłości mimo krzyków socyalistów potrzebywać będą, zaś podatki konsumcyjne stanowią lwią część ich dochodów. Jednakże można i należy dążyć do odpowiedniej zmiany tychże i n. p. u dzika zrobić różnicę co do wagi, zaś pojęcie warchlaka przesunąć do 25 kg., to jest tak, jak sama taryfa zróżniczkowała warchlaka u świń domowych.

Wedle poz. 23 za wszelkiego rodzaju rozrąbaną zwierzynę podatek spożywczy wynosi 6·60 k. od 100 kg. Ta pozycya uniemożliwia zatem handel drobiazgowy z prowincyą. Wiadomo bowiem, że 5 kg. posyłki pocztą, a tem więcej 10 i 20-kg. przyspieszone kolejami państwowemi są stosunkowo dość niskie i mogłyby posłużyć do wysyłki dziczyzny, rozrąbanej na prowincyi w drobnych ilościach konsumentom we Lwowie. Tymczasem powyższa pozycya podwyższa niejednokrotnie bardzo znacznie koszta zakupna i uniemożliwia tego rodzaju posyłki. Np. za wypatroszonego dzika o wadze 100 kg. w całej sztuce płaci się 2·80 k., zaś za tego samego dzika po rozrąbaniu, wskutek czego uzyska się bez koży około 60 kg. wagi około 3·96 k., czyli o 1·16 k. więcej.

Istniejąca taryfa dla dziczyzny jest w niektórych kierunkach znacznie wyższą od taryfy od sprowadzonych zwierząt domowych. Widzimy bowiem, że

poz. 24	dla dzikiego ptactwa, bażantów, głuszców, cietrzewi oznacza od 1 sztuki .	0·39 kor.
„ 25	dla jarząbków, pardw i kamieniczek, czyli kuropatw górnych, gęsi, dropi, kaczek, (z wyjątkiem kurek zielononogich), słonek, kuropatw i dzikich gołębi, od 1 sztuki	0·21 „
„ 26	dla kurek wodnych i zielononogich, bekasów, kszyków, dubeltów, kulonów od 1 sztuki	0·07.5 „
„ 27	dla kwiczołów, przepiórek i wszystkiego innego drobnego ptastwa do jedzenia od jednego tuzina	0·07.5 „

Dla porównania i wyprowadzenia dalszych wniosków naprowadzamy niektóre pozycye tej samej taryfy, dotyczące opłaty wprowadzanych zwierząt domowych.

Poz. 11.	Cielęta do roku wieku, 1 sztuka . .	2·03 kor.
„ 12.	Owce, barany, kozy, kozły, capy i skopy, 1 sztuka	0·78 „
„ 13.	Koźlęta 1 sztuka	0·21 „
„ 16.	Mięso świeże, bez różnicy pojedynczych części zabitego zwierzęcia, mięso solone, wędzone, marynowane, salami i inne kiełbasy, 100 kg.	5·32 „
„ 17.	Drob: indyki, pantary, gęsi, kaczki, kapłony, 1 sztuka	0·16.2 „
„ 18.	Kury, koguty, kurczęta tudzież gołębie, za dwie sztuki	0·05.8 „

W cyfrach tych, abstrahując już od tego szczególniejszego a niczem nieuzasadnionego łączenia rozmaitych, w żadnej łączności ze sobą nie stojących gatunków zwierza, jak n. p. dropia i gołębia pod jedną pozycyą, uwidocznia się nadzwyczaj dobitnie duch taryfy dla podatku spożywczego od zwierzyny, uważającej ją za artykuł zbytkowny. Albowiem kiedy za cielę do jednego roku wieku płaci się tylko 2·03 k., to za jelenia w tym samym wieku nawet 3·95 k; za owce, barany i capy 0·78 k., natomiast za sarny 0·95 k.; za koźlęta tyle co i za zająca, a mianowicie 0·21 k., za zwierzynę rozrąbaną 6·60 k. od 100 kg., natomiast za mięso ze zwierząt domowych tylko 5·32 k.; za jedną sztukę indyka 0·16.2 k., natomiast za jednego dzikiego gołębia nawet 0·21 k.

Najdobitniejszym dowodem tego nierównomiernego traktowania dziczyzny są zaś np. tego rodzaju szczegóły, że za 1 dzikiego gołębia płaci się 0·21 k., a za dwa gołębie domowe tylko 0·05.3 k., lub że za jedną kurkę wodną płaci się 0·06.8 k, a natomiast za dwie, chociażby nawet najlepiej uhodowane i największe kury domowe tylko 0·05.8 k. Różnica na niekorzyść dziczyzny w pierwszym wypadku wynosi 18 h. = 85%, w drugim wypadku 0·03·9 k. = 57%, a więc cyfry bardzo poważne. Te nierównomierne postanowienia muszą więc niekorzystnie wpłynąć na zaopatrzenie Lwowa w możliwie największą ilość dziczyzny z prowincyi i to jest powodem, że dziczyzna nie jest pożywieniem ogółu w tem mieście.

Sądzę więc, iż wyżej wypowiedziane zdanie, że istniejącą taryfę dla pobierania podatków spożywczych od dziczyzny należałoby odpowiednio zmienić, ma w podanych cyfrowych zestawieniach swoje zupełne uprawnienie.

Lecz przypatrzmy się jeszcze handlowi dziczyzną w mieście Lwowie.

Handel zwierzyną w mieście Lwowie również niedomaga w wielu kierunkach, albowiem nie jest on wcale systematycznie urządzony, lecz pozostawiony przypadkowi.

Sprzedający zwierzynę, czyli powiedzmy krótko producent, jest w zupełności na widzimisię handlarza wystawiony, a trafia to przeważnie drobnego dostawcę. Wielki producent zapewnia sobie zbyt naprzód, zazwyczaj za granicami kraju, bądź to własną ingerencyą, bądź też przez to, iż agenci domów handlowych pozakrajowych wcześnie na miejscach się jawią i złożeniem kaucyi zabezpieczają odbyt całej w pewnym przeciągu czasu odstrzelić się mającej ilości zwierzyny. Mały dostawca nie może tego uczynić, gdyż ma za mało zwierzyny i wskutek tego jest zdany całkowicie na łaskę lub niełaskę kupującego handlarza.

Ceny w Wiedniu obecnie płacone wynoszą za zająca 3·00—3·20 k., młode kuropatwy 1·30—1·60 k., stare kuropatwy 0·80—1·10 k., kaczki 2·00—2·40 k., słonki 2·20 do 2·80 k., jeleń za kg. 0·64—0·76 k., sarny 1·40—1·50 k., dziki stare 0·60—0·80 k., warchlaki 1·30 1·40 k. Różnica w Wiedniu na niekorzyść Lwowa uzasadnioną jest kosztami transportu i znaczniejszą wysokością wiedeńskiego podatku spożywczego dla zwierzyny. Import do Niemiec ułatwia znacznie małe cło na granicy. Natomiast nowy traktat handlowy z Niemcami zawiera znaczniejsze podwyższenie ceł na zwierzynę. Podwyższenie to będzie dla eksportu rzeczą dość nieprzyjemną, lecz wskutek tego zyskać może targ lwowski, raz z tego powodu, że eksport za granicę utrudniony zostanie, a z drugiej strony, że wskutek niemożliwości eksportu targ wiedeński może być łatwo zaopatrzony zwierzyną, z pobliża lub równin węgierskich nadsyłaną. Lecz i w dzisiejszych warunkach przynajmniej trzy czwarte przestrzeni Galicyi, a tem bardziej cała Galicya wschodnia ze zwierzyną grawitować może i powinna do Lwowa.

Wskutek tego spodziewać się należy, że zwierzyna jako tanie pożywienie mięsne łatwiej przystępna będzie dla szerszego ogółu.

Lecz żeby ona istotnie przystępną była, powinien handel dziczyzną we Lwowie inaczej być urządzony, aniżeli dotychczas. Dzisiaj producent nie wie, do kogo może wysłać i jakie ma gwarancye, a konsument nie wie, gdzie tej zwierzyny dostać może. Powinno się więc producenta z konsumentem zbliżyć i obu sprawę ułatwić. W tym celu powinny być publiczne składy, czyli domy magazynowe, coś w rodzaju magazynów na zboże urządzonych, w których ceny powinny być stałe, tak dla producenta zwierzynę przysyłającego, jak konsumenta dziczyznę kupującego. Owe składy powinny się zajmować sprzedażą zwierzyny na rachunek producenta i gdyby urządzone zostały, z pewnością stałyby się regulatorami cen. Regulowałyby ceny sprzedaży zwierzyny na targu lwowskim, lecz także i ceny na miejscu produkcyi, a to w ten sposób, że cena lwowska po odciągnięciu wszystkich wydatków, jak transportu, akcyzy i ewentualnego procentu od uskutecznionej sprzedaży, stanowić będzie cenę miejscową na prowincyi.

Otóż, ażeby w poruszonej sprawie zaopatrzenia targu lwowskiego dziczyzną wprowadzić polepszenie istniejących stosunków, a równocześnie przynajmniej częściowo zapobiedz skutkom podrożenia zwykłego mięsa, jakoteż ułatwić producentowi sprzedaż uzyskanej zwierzyny w mieście Lwowie, należałoby dążyć:

1) do odpowiedniego uregulowania istniejącej taryfy podatku spożywczego dla zwierzyny i

2) do założenia składu komisowego dla sprzedaży zwierzyny, z prowincyi nadsyłanej.

Przeprowadzeniem powyższych postulatów powinien, sądzimy, zająć się Wydział gal. Tow. łowieckiego, jako organ u nas w kraju w pierwszym rzędzie do tego powołany i jeżeli przeprowadzenie pierwszego punktu z dodatnim rezultatem dostarczyć może pewnych trudności, to urzeczywistnienie drugiego punktu nie powinno sprawiać najmniejszych przeszkód. Jesteśmy jednakże jeszcze i tego zdania, że wykonanie obu powyżej podanych postulatów wpłynąć może dodatnio na podniesienie się stanu gospodarstw łowieckich. Dzisiejsze łowiectwo przekroczyło już bowiem ciasne ramy zabawy i stało się czynnikiem, z którym w społecznej ekonomii liczyć się należy.

C. Kochanowski.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Ja przyznam się, że ta wycieczka do lasu w noc czarną, wśród lwów, nie przypadła mi wcale do smaku. Co było robić, towarzyszom trzeba iść z pomocą, ale okropny miałem strach, gdy tuż, tuż słyszałem wśród ciemności mruczenie lwa; na samo wspomnienie włosy mi się jeżą na głowie. Ale w takiem życiu, jakie my prowadzimy, trzeba iść ręka w rękę, trzeba narażać swe życie w obronie towarzyszów, bo inaczej zginęlibyśmy wszyscy. Solidarność między nami jest wielka.

Swoją drogą dziś, gdyby nie cudowny pomysł Tambariki, kto wie coby się z nami stało, jemu więc życie zawdzięczamy. Wilk afrykański jest jedynym nieprzyjacielem lwa, wiedzieliśmy o tem wszyscy, lecz nikomu to w owej chwili na myśl nie przyszło. Tambarika jeden wpadł na tę myśl szczęśliwą i tem dał jeden dowód więcej swej przebiegłości i sprytu.

Wilki czasem w polowaniach swoich umieją doskonale wyprowadzać w pole swych nieprzyjaciół i to w sposób nadzwyczaj sprytny. W ciągłej pogoni za nową zdobyczą, wilki przebiegają krainę w różnych kierunkach, niejednokrotnie napotykają na swej drodze liczne rzeki i strumienie, których nurty kryją ich najzaciętszych wrogów, krokodyle.

Wilki, chcąc odnaleźć ich kryjówkę, gromadzą się nad brzegiem i wyją przez czas jakiś donośnie, przeciągle.

Przynęcone krokodyle ze wszech stron podpływają, czyhając na zdobycz, a wtedy wilki ogon pod siebie, i pędem puszczają się brzegiem o kilkanaście metrów w dół, lub w górę rzeki, i tam dopiero rzucają się w wodę i bezpiecznie przepływają jej nurty. Manewr ten udaje im się zawsze.

Ja sam nieraz słyszałem ich donośne wycia.

Niektórzy utrzymują, że psy używają tego samego sposobu w przeprawach przez rzeki, ja, co prawda, nigdy tego nie widziałem. Po pierwsze, że psy nigdy same bandami nie włóczą się po lasach, a jeżeli idą z myśli-

wym, to on napewno weźmie psa do pirogi, albo nawet na rękach faworyta przez wodę przeniesie.

Wilk w pojedynkę urządza polowanie doskonale i prawie zawsze powali antylopę, która przecież jest tego wzrostu, co osieł; goni swą zdobycz i dopędzając, zadaje razy w brzuch dopóty, dopóki skóry kłami nie rozpruje.

Widziałem sam na własne oczy, jak wilczyca ostatnim gwałtownym skokiem powaliła na ziemię kozła, w mgnieniu oka rzuciła mu się do gardła i zdusiła na miejscu, sama zaś, cała potem oblana, padła koło ofiary i wyciągnąwszy język, odpoczywała.

Biedny kozioł przedstawiał widok rozpaczliwy, musiał byś długo przez wilczycę ścigany, bo sierć mokra od potu przylegała mu do boków, nogi krwią zbroczone, boki i brzuch okropnie pokaleczone, z jednej rany wydobywały się wnętrzności Przez chwilę miałem ochotę strzelić do wilczycy i zabrać małe wilczęta, ale gdzie ich było szukać. Ludzie moi odebrali kozła ku wielkiemu niezadowoleniu wilczycy,

Przez długi czas warczała, wyszczerzajac ostre kły i nie dawała przystępu, jednak za naszem zbliżeniem pierzchła, zostawiając ofiarę na naszej łasce; kazałem jej atoli zostawić sporą część zdobyczy, bo zapracowała na nią.

Z zebrą wilcy urządzają się inaczej. Ponieważ zwierzę, uciekając w przerażeniu, wierzga tylniemi nogami, zadając silne razy, wilki zabiegają jej drogę od przodu, szarpią piersi i nogi, i biada jej, gdy potknie się, lub zmęczona przyklęknie — cała falanga rzuca się na nią i rozszarpuje w mgnieniu oka.

Lew jest wielkim niszczycielem zwierzyny, lampart także, ale obydwa polują chytrze na zdobycz, czatując w nocy. Wilk działa jawnie w dzień i zwycięża zawsze wytrwałością i szybkością biegu; na zmordowaną ofiarę rzuca się całe stado i rozrywa w jednej chwili, potem zaś odpoczywają do czasu, póki głód nie pchnie ich do nowej walki. To są jedyne zwierzęta, które należałoby przyswajać i od małego układać do polowania na lwy. Z sześciu wilkami możnaby wytropić i wystrzelać wszystkie lwy w całej okolicy.

Sprowadzać psy z Europy na nicby się nie przydało albowiem upał, choroby skórne, jakie tu panują, a szczególniej mucha tsetse przyczyniłaby się do ich rychłego zgonu. W umiarkowanych krajach Afryki, na wyżynach i płaskowzgórzach, możnaby używać psów do polowania na kuropatwy i antylopy, ale zwykle inna zwierzyna wytępia je zupełnie,

Małe pieski angielskie, rat-terriery, znoszą najlepiej upały, lecz tropienie zwierzyny w wysokich trawach byłoby dla nich zanadto męczące. Niechaj więc sobie żyją w domu spokojnie.

Do polowania na lwy nie potrzeba, jakby się zdawało, psów ciężkich, olbrzymich, bynajmniej, bez względu na wzrost i rasę z lada kundlem można sobie dać radę, byleby tylko ten kundel nie bał się lwa i oszczekiwał go na wszystkie strony. Nam chodzi tylko o to, aby zwierz całą swą złość przeciwko psom obrócił, a wtedy, korzystając z tego, myśliwy podchodzi bliżej i pali mu w łeb.

Psy rasy szlachetniejszej rzuciłyby się walecznie na zwierza, no i rzecz naturalna zginęłyby pod kłami w jednej chwili, ale kundel szczeknie tylko parę razy i umyka w gąszcze, wodząc za sobą rozwścieczonego lwa.

Szakale żyją również w tym pasie, głównie na równinach. Nie chodzą gromadami, tak jak w Algierze lecz przeciwnie włóczą się w pojedynkę. Są wzrostu mniej więcej lisa, obrosłe siercią szaro - żółtą. Wydają głosy dziwaczne, przenikliwe. Z natury bojaźliwe, żywią się szczątkami i padliną zwierząt, pozostawionych przez lwy lub przez myśliwych.

Na dokończenie tego rozdziału poświęconego specyalnie rodzinie mięsożernych, dodam jeszcze kilka słów o hyenie, mieszkającej w tym pasie.

Na północy Zambezu żyje tylko jeden jedyny gatunek hyeny plamistej. Nic wstrętniejszego, jak widok tego zwierzęcia, takie to jakieś dzikie i niezgrabne.

Dziwne zwyczaje i tajemne nocne wycieczki hyen zrodziły u krajowców różne podejrzenia i zabobony. Słyszałem naprzykład niejednokrotnie opowiadaną przy ogniskach historyę o hyenach, które niepokojone przez myśliwych, głosem ludzkim przemawiają ze swej nory i błagają o darowanie życia. Chcąc się o tem przekonać, próbowałem wykurzyć siarką zwierzę z nory, udawało mi się to nieraz, lecz prócz nieludzkich miauczeń i pisków nic innego usłyszeć nie mogłem.

Drugą odmianę hyeny pręgowanej spotykamy na południu Zambezu i w północnej Afryce, to jest w pasie umiarkowanym.

Wspomniałem już w poprzednich rozdziałach o szczególnych właściwościach każdej pory roku w Afryce.

Jesteśmy obecnie w roku 1895 w chwili największej suszy, w chwili, gdy rozhukane płomienie ognia niszczą doszczętnie kraj cały.

U nas w Europie znajdujemy czasami takie zakątki kraju, które nam przypominają krajobrazy afrykańskie i mogą dać choć słabe pojęcie rzeczywistości tym, co okolic podzwrotnikowych nigdy nie widzieli i widzieć nie będą.

Wyobraźmy sobie naprzykład, że zamiast zbożem, które, falowane wiatrem, złoci się w słońcu, całe olbrzymie łany pokryte są suchą, żółtawą trawą i rozciągają się hen, hen, aż po za te wzgórza i doliny i rzeki; grusze dzikie, jabłonie i topole zastąpmy drzewami dziwacznemi, bezlistnemi, a będziemy mieli słaby obraz okolic afrykańskich.

Puszcze podzwrotnikowe Stanley'a przedstawiają się inaczej. Ciemno tam i ponuro, zewsząd zwieszają się długie sploty lianów, tajemniczy półcień tam panuje. Na ziemi mnóstwo korzeni dziwacznie pokręconych, garbatych, tu i owdzie małe bagniste kałuże — wilgotno.

Ale my jesteśmy jeszcze daleko od równika i rzadko kiedy spotykamy nad brzegami Nyassy takie bezmiary gąszczów i zarośli. Poza lasami i równinami łąk są okolice o trawach nizkich, kępiastych, porosłe gdzieniegdzie drzewami o pniu karłowatym, na podobieństwo naszej jabłoni.

W Afryce są trzy rodzaje krajobrazów: bezmierne trawiaste i zarosłe równiny, pagórki, wzgórza porosłe trawą, i lasy.

W miesiącu sierpniu pochody stają się nadzwyczaj trudne i uciążliwe, ścieżki nawet są zarosłe trawą. Wtedy to nastaje królestwo płomieni. Krajowcy podpalają trawy naokoło wiosek, podróżnicy po ścieżkach i bezmiernych równinach, a myśliwi po lasach. Podpalają zwykle pod wieczór. Płomienie, gnane wichrem, posuwają się z błyskawiczną szybkością coraz dalej i dalej. Wśród ciszy nocnej słychać ich pochód podobny do grzmotu burzy. Pożar się rozszerza, morze płomieni ogarnia całą okolicę; po drodze niszczy wszystko: trawy, zioła, krzewy, z sykiem liże pnie drzew, skręca się w tysiączne płomieniste języki — i idzie dalej, miotając w górę kłębami iskier, dymu i podrzucając szczątki niedopalonych traw hen ku niebu!

A ziemia tymczasem i jęczy i huczy i grozi! To skarga ostatnia,.. A wiatr gna płomienie, a rozkukany żywioł leci i pochłania w piekielnym pochodzie wszystko, a w ślad za nim idzie pustka... martwota... śmierć... Na pobojowisku zostają się popioły siwe, zgliszcza czarne i szkielety drzew niedopalonych, z których wykwitają niebieskawe smugi dymu i idą prosto w górę i zda się mówią: „Oto stała nam się wielka krzywda, przeszedł tędy żywioł straszny, zniszczył nas i zabrał nam życie.“

Rzadko kiedy jednak ogień zajmuje wielkie przestrzenie; ludzie zatrzymują jego pochód. Krajowcy naprzykład podpalają jeszcze na początku wielkich susz trawy w okolicy wiosek; gdy pożar nadlatuje, zastaje już pustkę i cofa się i gaśnie.

Lasy niezarosłe, okolice wilgotne, piaszczyste równiny, zatrzymują płomienie. Szybkość, z jaką szerzy się pożoga wśród traw, zależy od siły wiatru; widziałem nieraz, jak płomienie podczas silnego wichru postępowały z przerażającą szybkością 20 kilometrów na godzinę; czasami pochód bywa wolniejszy i ogranicza się do 4 lub 5 kilometrów.

Gdy podczas pochodu pożar zaskoczy podróżnych, a zwłaszcza jeśli wiatr jest silny, wtedy, nie tracąc ani jednej chwili, należy się ratować. Jak tylko usłyszy się zdala ponury a złowrogi huk, należy czemprędzej zapalić trawy przed sobą. Płomień pójdzie z wiatrem naprzód i wyniszczy okolicę; tam należy schronić się na zgliszcza, uchodząc czemprędzej od traw pozostałych; gdy pożar nadleci, zatrzymać się musi na tej spalonej granicy, i zgasnąć i zginąć, bo dalej już pustka.

Kilka razy byliśmy w podobnem położeniu i ocalenie zawdzięczam jedynie zimnej krwi i przytomności umysłu moich ludzi.

Całe chmury czarnego ptactwa „buszangas“ towarzyszą pożarom, czyhając na zdobycz, chwytają i pożerają koniki polne i inne owady, uciekające przed płomieniami. Ptactwo to ostrzega przed niebezpieczeństwem inne większe zwierzęta, które uciekają z tych okolic i rozpraszają się, szukając schronienia.

Kraj, przez który przeszła pożoga, przedstawia nader smutny obraz pustki i zniszczenia. Wzrok nasz sięga daleko poprzez bezmierne nagie równiny, hen, aż na krańce widnokręgu.

Upał nie do zniesienia, słońce pali, cienia ani na lekarstwo, zato zwierza i o pół mili dojrzeć można.

Czytelnik wie teraz mniej więcej, jak wygląda kraina, w której przebywamy, wracam więc do poprzedniego opowiadania o łowach.

Jest pod koniec sierpnia, słońce wysuszyło już wiele mniejszych błot i strumieni, zostało jeszcze parę kanałów, chronionych od słońca przez drzewa wysokie. Poiska takie są dość liczne w porzeczu rzeki, to też zwierzyna może je bardzo łatwo zmieniać...

Myśliwy, krążąc dookoła, zabija nieraz po dwie sztuki dziennie, ale upał nie do zniesienia męczy człowieka szybko.

We wrześniu już jest co innego. Woda pod wpływem gorąca coraz to bardziej wysycha; w okolicy zostają dwa lub trzy poiska, gdzie zwierzyna ze wszech stron nadciąga, aby pragnienie ugasić. Myśliwy męczyć się nie potrzebuje, może dniem i nocą siedzieć nad wodą, robić zasadzki i strzelać bez końca, bo zwierzyny huk.

Podczas pory suchej Bertrand i ja każdego roku przygotowujemy i wypychamy nowe okazy wielkich zwierząt ssących do paryskiego muzeum.

Obfitość zwierza jest wielka, więc możemy wybierać same ładne okazy, a pogoda i susza sprzyjają nam w tych zajęciach.

W obozie mamy zawsze około dwunastu małych murzynków, których zabieramy ze wsi poblizkiej; dzieciaki te łapią nam mniejsze zwierzęta, a my im za to płacimy. Codziennie rano, pod strażą jednego z ludzi, młodziutki zastęp myśliwych wychodzi z obozu na łowy. Każdy z dzieciaków uzbrojony jest w klatkę, sidła i pudełko. Wyruszają wśród śmiechu i gwaru; wracają wieczorem, każdy z nową zdobyczą, zawsze weseli, uśmiechnięci. W ten sposób dodaliśmy do naszej kolekcyi mnóstwo nowych odmian żółwi, jaszczurek, różnych gadów, ptaków, małych ssaków i owadów, których inaczej nie zdobylibyśmy nigdy.

W tym czasie zauważyłem jakąś dziwną odmianę antylop napotkanych w lasach Mistagnas. Zwierzęta te nie posiadają wcale czuba, mają łeb gładki, tak samce, jak i samice, co im nadaje inny wygląd, niż zazwyczaj. Nie wiem czemu to przypisać, czy krzewom ciernistym, w jakich przebywają, czy też może jest to inny zupełnie gatunek antylop z odmiany *oreas canna*.

W lasach Mistagnas jednego dnia udał mi się wspaniały strzał podwójny.

Pewnego rana, ni stąd ni zowąd wysunęło się w pełnym galopie całe stado gnu, może o jakich trzydzieści metrów przed nami. Porywam za strzelbę, walę dwa razy i trzeba szczęścia, że powaliłem dwa gnu na miejscu; ani drgnęły. Jakoś za każdym razem zakładałem przed zwierza i kula trafiała w samą szyję. Później jeszcze ścigaliśmy uciekające stado i zabiłem trzeciego samca. W ten dzień pamiętny strzelałem z ekspresu Nr. 2.

W sierpniu i wrześniu upolowałem sporą ilość antylop, gnu, kudusów, kobsów, antylop czarnych, zeed, bucksów i t. d. Nie będę się jednak nad temi polowaniami rozpisywał i przejdę odrazu do naszej pierwszej nocnej zasadzki. Rzecz się miała w połowie września. Przed samym zachodem słońca natrafiliśmy na niewielkie jeziorko w lesie. Naraz wzrok mój padł na jakiś przedmiot, leżący nad brzegiem. Podchodzę, przyglądam się bliżej, co to być może i poznaję, że to zebra, która z godzinę temu musiała być zabita. Lew, a raczej lwy muszą być sprawcami złego, bo biedaczka leży wśród kałuży krwi cała w ranach, jedno oko wyszarpane, z szyi i piersi rozdartych sączy się krew. Walka musiała być straszną. Trzeba ją pomścić.

Przetrząsamy całą okolicę, bo pewny jestem, że lwy oddaliły się gdzieś niedaleko za naszem zbliżeniem. W całej okolicy nic nie słychać i nic nie widać, prócz paru niewielkich krzaków... A jednak tej nocy muszę spróbować szczęścia i zapolować, a nuż mi się uda? Obóz nasz jest zaledwie o kilka kilometrów, posyłam ludzi po żywność, lunetę i kołdry, aby było co zjeść i na czem się przespać choć trochę.

Przy mnie zostaje tylko Msiambiri. Oddalamy się przezornie od zebry, aby lwy nie odgadły naszej obecności i nie poczuły niebezpieczeństwa.

Rozpatruję właśnie pole naszej przyszłej walki. Do strzelania plac jest wyśmienity; okolica ze wszech stron odkryta, księżyc będzie, zdaje się, w pełni. Tylko jedna bieda: naokół ani kawałka drzewa i w niebezpieczeństwie formalnie niema za co się skryć; trzeba więc samemu zbudować jaką kryjówkę, któraby mogła być naszą osłoną. Bez chwili namysłu wybieramy się do poblizkiego lasu po chróst i gałęzie. Towarzysze moi wracają niebawem z obozu i pomagają nam w robocie. Noc szybko zapada,

gałęzi tak mało, że nie wystarczy na schronisko dla sześciu ludzi. Musimy je rozdzielić. Trzech murzynów wysyłam na drzewo o 60 metrów odległe, niech się tam skryją wśród gałęzi, a dwóch zostaje ze mną nad brzegiem wody.

Naprędce skleciliśmy rodzaj stożkowatej lepianki z gałęzi drzew, związanych razem u góry; obrzucamy ją naokół darniną, aby miała wygląd kopca mrówkojada. Na dworze robi się coraz ciemniej; noc zapada. Czaty się zaczynają, wszyscy czuwają... Korzystam z chwili spokoju i wchłaniam w siebie cały rondel mleka z ryżem. Poczciwy Bertrand nie zapomniał o mnie! Ryż, to zwykłe moje pożywienie na nocnych wycieczkach, najlepsze, bo najmniej kłopotliwe, nie potrzeba noża, widelca, chleba, ni soli, łyżka wystarcza na wszystko.

Korespondencye.

Rzadki okaz. Dnia 12|25 września rb. p. Artur Śliwiński, objeżdzając z inspektorem rybołowstwa z Krakowa, profesorem Fiszerem wielki staw Sachnowiecki, należący do dóbr Antonińskich na Wołyniu, zabił nura północnego (Colymbus arctiens). Nury te, bardzo rzadko pojawiają się w Europie środkowej i tylko niekiedy wielkie mrozy, połączone z zawiejami śnieżnemi na morzu Lodowatem, wypierają je ku południowi, ale prawie nigdy w tak wczesnej porze jaką jest wrzesień. Ptak ten posiada względnie do swej wielkości (równa się prawie gęsi) zbyt małe szpiczaste skrzydła, lot jednak ma nadzwyczaj szybki.

Rzadki ten okaz, po wypchaniu zwiększył piękne zbiory właściciela dóbr Antonińskich, hrabiego Józefa Potockiego.

W październiku rb. w bażantarni Wolickiej, należącej do dóbr Antonińskich hrabiego Józefa Potockiego, odbyło się w siedm strzelb jedno polowanie. Pogoda nie sprzyjała, bo zwłaszcza w początku polowania padał deszcz rzęsisty. Pomimo tego, P.P. Myśliwi wielką mieli niespodziankę i rzadką przyjemność, gdyż oprócz pięknie latających bażantów, widocznie przed śniegiem, który w trzy dni po polowaniu pokrył ziemię na 8—10 cali, nadciągnęło do bażantarni wiele słonek i te nader urozmaiciły zabawę.

Rezultat z przeszukaniem, okazał się następujący: zabito bażantów 622, rogaczy 2, zajęcy 24, królika 1, słonek 36 i 2 jastrzębie.

Królem polowania był hr. Zdzisław Tarnowski, mający na rozkładzie 181 bażantów, 13 słonek i jastrzębia. Drugim z kolei co do ilości sztuk był hr. Tomasz Zamoyski z Jabłonia.

Prócz tego brali udział w polowaniu: hr. P. Szapary, bar. Stumm, członek poselstwa niemieckiego w Petersburgu, hr. Floryan Zamoyski i Panowie Władysław Sobański i Tadeusz Dachowski. Gospodarz nie strzelał.

Artur S.

Familijne polowanie w Komarowie. Pierwszych dni października przyjechała Mama do Komarowa, po dłuższym pobycie za granicą. Naturalnie, że pozjeżdżali się synowie i córki — trzech synów, trzy córki, dwóch zięciów i ja stary — wszyscy myśliwi. Drezdeńczyk nigdy do biegnącego stworzenia nie strzelał — a tembardziej w lot — ale pasyjka myśliwska wielka, więc z początku na chruściele, których było dużo, a Puf, pies dobry, wystawiał świetnie, i dziwo! zabijać zaczął p. Drezdeńczyk, tylko długo mierzył, bo przyzwyczajony na wychodnego rogacza, z Mauzera, chciał zawsze mieć na muszce, dość że przepiórki, chruściele zabijał — kuropatwy jakoś niemógł zabić, to burknięcie robi na nim takie wrażenie — i tak to szło aż do śniegu — n. b. trzeba powiedzieć, że co dnia i jaki by czas nie był, chodzili na polowanie, nawet w ten dzień ulewy, który się skończył śniegiem, poszli w łęgi, ale rzeka tak wylała, że się zamoczyli do pasa i wrócili jak niepyszni do domu — to ich nie zniechęciło, bo po śniegu, a raczej w ten śnieg nazajutrz poszli na łazy — we trzech zabili 7 słonek, a chybili dziesięć razy. Oficer do siedmiu siedzących i wszystkie chybił — dość, że od śniegu już co dnia przez parę tygodni polowaliśmy do 3. listopada i zabiliśmy 66 słonek — ale żeby lepiej strzelano, to trzy razy tyle byłoby padło. Ale prawda, że nieszczęcie prześladowało — gospodarz, bardzo dobry myśliwy, szwagierkowi musiał swoją strzelbę dać, a sam z koromesłem chodził. J. C. na swoje nieszczęście kupił dwie nowe strzelby we Lwowie, jednego dnia 18 chybił i dwie zabił. Najstarszemu zabrakło ładunków i brał strzelbę gospodarską, a ładunki chodziły przez dwa tygodnie światami aż je w domu zastał porucznik-gorączka — kłopot — jednakże najwięcej ubił. Ale miał spotkanie!

Ja, jak był ładny czas, to powozem wyjeżdżałem i gdzie parowów nie było, parę godzin polowałem. Zabiłem 6 słonek. W lesie prawie ich nie było, przeważnie na łazach gminnych, gdzie pasiono bydło. Przytem zabito kilkadziesiąt zajęcy i kuropatw, rogacza i jastrzębi kilka. Musieliśmy trafić na ciąg, bośmy oprócz niedzieli, co dnia polowali. Ostatniego dnia tylko jedną zabito, a widziano dwie — to było 3. listopada — naturalnie polowaliśmy z nagonką. Strzelano do dzików bez skutku, bo cienkim śrótem. Jeleni cały czas było 8. Do cietrzewi było dużo, strzałów.

M. Tyszkiewicz,
delegat brodzki.

Śledziejowice, 9. listopada 1903.

Znów odwróciła się jedna karta roku myśliwca, zdobna purpurą i złotem naszych jesiennych drzew. Na tem krasnem tle zjawia się urocza, samotna, tajemnicza słonka sarniooka, by z sobą wnieść poezyę i czar w zwiędłość późnej jesieni. Nikt nie wie kiedy, skąd nagle wśród nas się zjawia — nikt nie wie, że już odleciała w okolice, gdzie słońce cieplejszem, weselszem okiem spogląda na ziemię.

Zachodnie okolice nasze, które słonki zwykle omijają, tego roku nawiedziły i wcześniej i liczniej, niż kiedykolwiek. Jesienny ciąg był gwarny i wesoły.

Pierwszą słonkę raportowano mi 22. września. Jeździłem kilka razy na nie pod Niepołomską puszczę i widywałem po 3, po 4 na wieczornym ciągu, bujające na tle wspaniałej seledynowej zorzy wieczornej i popielato granatowej Niepołomskiej puszczy — żadna jednak nie zbliżyła się na strzał.

1-go października donoszą mi, że słonki pojawiły się u mego sąsiada w Raciborsku.

3-go na nie jadę — pogonka w nieprzebytych gąszczach 30 morgowych, rusza z 12 — zabijam 2.

5-go pogonka tamże, rusza mniej więcej tę samą ilość, pada ich 3.

6-go się oziębia — wiatr zachodni niezwykle silny, słonki znikają — ta pauza trwa do 13-go.

13-go w ten dzień o zmroku przy większem zimnie widzę 2 słonki wylatujące szybko, wesoło z mego lasu na ciąg.

14-go poluję u siebie z pogonką, ruszam ich 7, zabijam 4. Wieczór widzę ciągnącą tuż obok siebie parę.

15-go poluję w Raciborsku z mym sąsiadem St. K., pada słonek 7. Wracam do domu jeszcze na ciąg i w 5-ciu minutach spuszczam jeszcze 2, ową parę, widzianą dnia poprzedniego, trzecia przelatuje bez strzału; tego dnia we dwóch zastrzeliliśmy 9.

19-go wezwany jadę do Mogilan, słonek dużo, zastrzeliłem 5, towarzysz mój 3 — w dwie strzelby tego dnia mamy ich 8. W nocy przyszedł mróz — następnego dnia zimno, słonek już bardzo mało, zabijam 1 jeszcze. Od tego terminu słonka staje się rzadką.

23-go w Stryszowie zabiłem 1, widziałem kilka, tak samo 26-go w Chrzanowie.

Wyjątek stanowi Raciborsko; 30 go zastrzeliłem 3, pogonka ruszyła z 10.

31-go w Mogilanach widziano jeszcze 4, ale żadna nie przyozdobiła i tak ślicznego rozkładu (6 rogaczy, 1 lis, 20 zajęcy, 6 bażantów).

2-go listopada widziano słonkę u mnie w lesie — zapewne ostatnią.

Punktem kulminacyjnym ciągu był okres od 1—5 i od 14—19-go października włącznie.

W naszych annałach ciąg był w tym roku wyjątkowy — słonek padło w mojej okolicy: 16 w Raciborsku, 17 w Mogilanach, 6 w Śledziejowicach, 19 w Libertowie.

St. Larysz Niedzielski

We Lwowie, 20. października 1903.

W pierwszych dniach października polowałem w Niesłuchowie, dobrach Ordynata Hrabiego Tadeusza Dzieduszyckiego. — Knieje ładne, blisko domu przecięte gościńcem na równinie tak, że na każde stanowisko powozem dojechać można, robią wrażenie jakby się polowało w ładnym obszernym parku — polowanie prowadzone wzorowo. — Nie strzelano zajęcy -- a jeżeli innej zwierzyny nie padło tyle, wiele paść powinno, to wina myśliwych, którzy, choć tam byli dobrzy strzelce, pudłowali — cóż robić i to się zdarza na świecie. — Zabiliśmy w sześć strzelb 13 słonek, 5 bażantów, 5 kuropatw, 2 rogacze i 2 jastrzębie. — Drugiego dnia polowaliśmy w 3 strzelby i zabiliśmy 6 słonek, 1cietrzewia, 1 bażanta, 1 grzywacza i 4 kuropatwy.

Dnia 7. października polowaliśmy w 6 strzelb w Zadwórzu, majątku Hipolita Bohdana — wolno było strzelać kozły, zające, lecz z pozwolenia prawie nie korzystano. Głównie chcieliśmy wybić do nogi słonki — przy szczerych chęciach znów pudłowali dobrzy strzelcy tak, że zabiliśmy 12 słonek, 1 kuropatwę, 5 zajęcy i 1 jastrzębia — ile chybiono nie powiem — bo u myśliwych, to jak u studentów — choćby cię smarzono w smole, nic powiadaj co się dzieje w szkole. — Słonek w tym roku w ogóle dużo — ale czy dla tego, że w zeszłym roku ich nie było — fakt że wytrawni myśliwi emocyonowali się a to jak uczy doświadczenie niepomaga do trafności strzału — żeby to człowiek nie umiał — ale wie jak to zrobić — ma słuszną i nieprzymuszoną wolę, wtem tiro — tiro — elektryzuje nerwy, wylatuje słonka — buch, buch — słonka zamiast zostać na miejscu uciekła a myśliwy został — strzelił jak student na wakacyach — zresztą słonka umie robić różne figle, jest ptak kapryśny, może to dla tego, że jest rodzaju żeńskiego, (co od doświadczonych ludzi słyszałem, lecz tego zdania nie podzielam), każda inaczej wylatuje, mądry to ptak — i wskutek tego tak urocze na nią polowanie. Co mnie się wczoraj zdarzyło — przy końcu miotu wysoka dębina podszyta niskimi krzakami, pogonka stoi 30 kroków przedemną; na komendę stój równaj się — porywa się słonka, leci ku mnie, przed siebie strzelić nie mogę bo stoją chłopcy, stoję na linii szerokiej, więc myślę „moja“, ale słoneczka — wyleciawszy na linię, leci łokieć od ziemi po pod ścianę miotu do mego sąsiada — strzał łatwy za nią, ale strzelić nie mogę bobym postrzelił sąsiada, do którego na sztych leci, on nie strzela, gdyżby to samo mnie uczynił — słonka na dziesięć kroków skręca wściekłym zwrotem między dęby, sąsiad strzela, dęby postrzelone — słonka uciekła — my obydwaj zirytowani stratą marnej ptaszyny, jakbyśmy stracili tysiące. — Czasem ma się znów „rabenschwarzes Pech“. Przed paru dniami, wylatuje na mnie słonka po nad wysokie dęby, strzelam — trafiłem, spadając odbija się po gałęziach i w malowniczych koziołkach dolatuje ziemi, otwieram strzelbę, by ją nabić, w tem widzę dwie słonki 10 kroków jedna od drugiej a 20 odemnie, zamykam strzelbę z pozostałym nabojem, słonki są już 60 kroków i przelatują przez tarczę słońca tak, że nic nie widzę jedna pokazuje się za tarczą, strzelam więcej ze złości niż z potrzeby, ale bez skutku. — Nie koniec pechu — w drugim miocie jechaliśmy wózkiem, wyjąłem naboje, nim wysiadłem, słyszymy, że już gonią, wyskakuję na stanowisko — wylatuje słonka na czystem, strzał łatwy na otwartym terenie, ciągnę za prawy cyngel, potem za lewy „will nicht heraus“ otwieram — nie włożyłem naboju — a strzelby moje choć doskonałe, nie strzelają, gdy się ich nie nabije. — Zdarzyło mi się, że słonka jakaś desperatka, nim pogonka ruszyła wyleciała na mnie, wymierzyłem doskonale, ale nie strzeliłem, bo w mojej hamerlesce była zamknięta szpera. Podzieliwszy się z kolegami tem, co widziałem i doświadczyłem ostatnimi czasy — żegnam (o mało że nie napisałem staropolskiem) Waidmannsheil!

Teofil Żurowski.

Dołhe, 20. października 1903.

Gdy z rozmaitych stron nadchodzą wiadomości o wynikach tegorocznych łowów na jelenie, pozwalam sobie, parę słów powiedzieć o przebiegu i rezultacie mych polowań podczas rykowiska w Dołhem. — Pierwsze jelenie pojawiły się w Dołhem, przed sześciu laty i przebywały w tutejszej kniei od maja do pierwszych dni września; widywałem je bardzo często. Tak się tu oswoiły, że dawały się podjeżdżać na kilkadziesiąt kroków. Na rykowiska jednak zawsze uchodziły w góry. — Przez lat sześć błagałem św. Huberta, by wydał rozkaz tej królewskiej zwierzynie odbywania godów weselnych na mojem terytoryum.

Każdego roku byłem, pod każdem względem przygotowanym na przyjęcie tych dostojnych gości. Sztućce moje, Mauser i Schönauer, z upragnieniem „w przenośni otwierały swe ramiona“, by niemi serdecznie uścisnąć i na zawsze przy sobie zatrzymać któregoś z oblubieńców. Mój „wielki łowczy“ zwany „Michałkiem“ ciągle był w pogotowiu, by z „pana młodego“ zdjąć szaty godowe i ślubnym jego wieńcem rogowym ozdobić ściany dworu dołżańskiego.

Lecz wszystko było daremnem: Święty Hubert zabierał jelenie w góry. Ja pomny słów dawniejszych „Pukaj a będzie ci otworzonem“ nie zważając na dzisiejsze „Żebraj, a wyrzucą cię za drzwi“ nie ustawałem w swych modłach, i oto w tym roku zostały wysłuchane.

Dnia 16. września dano mi znać iż jelenie ryczą. Zaraz więc pospieszyłem do kniei, w której spędziłem uroczych i błogosławionych dni dziewiętnaście. Pierwsze dwa wieczory i ranki słabo porykiwały jelenie od strony Stankowa. Później przeniosły się w młody, bardzo gęsty zapust brzozowy, graniczący z Nieniowem i tam do końca już rykowiska odbywały. Pierwszego jelenia udało mi się podejść i położyć 18. września.

Dziś rozważając, a ochłonąwszy z wrażenia, jakie wywiera widok i możność strzału pierwszy raz na rykowisku do jelenia, przyznaję się, iż ubity jeleń był ósmakiem, 20. padł silny dwunastak, 24 powaliłem kulą z Mausera pysznego ośmnastaka. — 1. października padł silny jeleń tak zwany „Mord-Hirsch“ i on zakończył te urocze łowy, za które św. Hubertowi najwyższe składam dzięki. Obecnie po ukończonych rykowiskach i zdaje się odlocie słonek, wyczekuje nasza myśliwska drużyna z niecierpliwością chwili, kiedy gościnny gospodarz z Łukawicy — jako ów wielki wojewoda, dbały o dobro i spokój swego ludu rozpisze wici — roześle gońców i zwoła nas na krwawe boje z hordami dziczemi, które grasują po Siemiginowie, Żulinie i Rozhurczu,

T. G.

Dublany, 21. października 1903.

W drugiej połowie sierpnia, fornal, koszący koniczynę, złapał pod kosiarką chróściela. Był to osobnik zupełnie wyrośnięty, o ile się na tem znam, nie tegorocznego legu, gdyż i dziób i upierzenie miał starego ptaka, z wyjątkiem skrzydeł, które były pokryte dopiero pałkami.

Zastanowiło mię to bardzo, szczególniej, iż nawet na ramionkach miał duże, zupełnie wykształcone pióra.

Na początku września zabiłem zająca, który całe wnętrzności miał pokryte białemi plamkami-kuleczkami, wielkości grochu. Upraszam Szan. Redakcyę o wytłómaczenie mi w następnym Nr. „Łowca“, co mogło być powodem owego wypierzenia się chróściela i jakiej choroby są symptomatami owe owrzodzenia, jakoteż czy nie ma środka dla zapobieżonia rozprzestrzenianiu się owej choroby.

H. R.

Z Łańcuta, 28. października 1903.

Wobec tak licznie podnoszonych głosów w tegorocznej kadencyi sejmowej, i gdzie siłą mocą starano się obecną ustawę łowiecką przedstawić jako złą i krzywdzącą wielce włościan, fakt, o którym poniżej chcę pisać, nieposlednim może będzie narzędziem obronnem dla tych znów p. Posłów sejmowych, którzy łowiectwu są więcej przychylni i starają się obecną ustawę łowiecką przed atakami przeciwników obronić a nawet niektóre ciemne jej strony i niektóre paragrafy niestosowne i nieodpowiedne naszym stosunkom krajowym, na lepsze zmienić.

W dniu 25. października straż łowiecka Ordynacyi Łańcuckiej przy asystencyi c. k. żandarma, skonfiskowała u handlarza w Łańcucie 2 kozy, które pochodzą i strzelone były w Czarnej, gdzie prawo polowania gminnego dzierżawi włościanin Wojciech Czado, członek rady powiatowej łańcuckiej.

Przybrał on sobie do spółki i dozoru tegoż polowania Walentego Kiwałę, postarał się dla niego o rotę przysięgi i książeczkę legitymacyjną, a ten pod płaszczykiem i ochroną przysługującego mu w ten sposób prawa polowania, chodzi dniem i nocą, i strzela co mu tylko pod lufę przyjdzie.

Wiadomo ogólnie, że niektóre gminy biorą polowania swe dla pewnych członków gminy w tym celu tylko, aby byli swobodniejsi i kto tylko zechce, aby mógł chodzić ze strzelbą i strzelać co mu się tylko podoba, nie zaś aby dochodu gminie przysporzyć, albo też ochraniać zwierzynę i dbać o jej rozmnożenie i podniesienie. Terytoryum to gminne wsi Czarna, z trzech stron jest okolone polami i lasami do Ordynacyi Łańcuckiej należącymi. To też liczni, podobni Kiwałowie, zasiadają i czatują na granicy i co tylko wyjdzie z lasów, czy też pól Ordynacyi na terytoryum gminy Czarna, biją i mordują bez względu na rodzaj zwierzyny i nie oglądają się nawet na czas ochronny i ustawę łowiecką.

Jest to w ciągu niedługiego okresu czasu fakt drugi, zeszłego bowiem lata również wspólnicy Czady i Kiwały zastrzelili jeszcze w czasie ochronnym kozę, zająca i 2 kuropatwy i kary jeszcze nie odpokutowali a już znów podobnie sobie postąpili, bo zabili 2 kozy. Łatwo więc sobie przedstawić tak miłe sąsiedztwo i położenie Skarbu Łańcuckiego, gdzie używa się wszelkich środków, aby stan zwierzyny podnieść, ochrania się ją, pielęgnuje i hoduje, na to, aby wyszła do sąsiada i tam ją wymordowali i zniszczyli.

Tak się tedy dzieje u człowieka, jak Wojciech Czado, mającego pretensyę do czegoś lepszego, boć jest, jakto powyżej wspomniałem, członkiem rady powiatowej w Łańcucie, cóż więc tam się dziać musi, gdzie prawo polowania dostaje się w ręce człowieka gorszego charakteru, czy takich także i dalej będą niektórzy p. Posłowie bronić i dla nich starać się o zmianę ustawy? a cóż na to powiedzą i co mają robić ci, którzy o zwierzynę dbają, pielęgnują, ochraniają, żeby ją im podobni Czadowi sąsiedzi wybijali i wyniszczyli, czy oni są na to, aby tylko koszta na hodowlę zwierzyny łożyli i za szkody w ziemiopłodach włościan czy są rzeczywiste, czy tylko zmyślone i wymarzone, płacili i nic z tego nie mieli; — oddaję to już pod sąd światłych p. członków naszego Towarzystwa i p. Posłów przychylnych naszej sprawie i łowiectwu, a może uda się im chociaż cośkolwiek dla sprawy łowiectwa i podniesienia zwierzostanu w kraju uzyskać.

Wł. Lewicki.

Ruda koło Radłowa, d. 3. listopada 1903

Donoszę szanownej redakcyi, że w tym roku w połowie października przez kilka dni i u nas słonki w większej ilości zapadły i w moim rewirze przez 3 dni chodząc za niemi zastrzeliliśmy 11 sztuk, 18 października w płtorej godziny, polując z nagonką, składającą się z 4-ech chłopaczków, strzeliłem z jednym leśnym 6 słonek).

Karol Scherautz.

Batiatycze, 5. listopada.

Swięty Hubert jak gdyby chciał nam nagrodzić różne zawody, dał dzień cudowny, zatem z inicyatywy Pułkownika Barona Dondorf postanowionem zostało polowanie w kostyumach na lisa, by uświęcić dzień drogi każdemu myśliwemu. Punkt zborny oznaczony — i jak jeden mąż na dzielnych koniach, poszliśmy w zawody z lisem w czerwonym fraku i kitą. Lis, sam szanowny inicyator zabawy, dał nam ciężkie zadanie do spełnienia,

ale gdy kita stała się naszą własnością, nadobna córka gospodarza z pełnego kosza nagrodziła zwycięzców pożądanym koniaczkiem. Przyszła kolej i na niżej podpisanego, nie wdając się w opis różnych kominków, ale charcięta spisały się — dwa szaraki zginęły bohatersko ratując życie przy dzielnym gremialnym galopie.

Powrót — obiadek, serdeczny toast myśliwski, a miły ten dzień zapisał się w sercach naszych — daj Św. Hubert doczekać raz jeszcze!!!

Nie od rzeczy, jeśli wspomnę, jak błogi skutek wywiera żandarmerya, jeśli spełnia swoje zadanie. Od 2 tygodni otrzymałem po długich staraniach posterunek — ludzie dzielni, chętni, ot i skutki, — złapano już 2 żydków z kozami w wózku, który im miał ktoś niewiadomy!! tam włożyć lub same wlazły, a może sobie przypomną przed naszym szanownym Radcą w Mostach, który jako członek i miłośnik myślistwa jest ogromnie ciekawy takich wypadków. Kilka strzelb, zdobią już jako trofea kancelaryę naszego sędziego — i jeszcze nasz poseł ks. Stojałowski, nie chciał w Sejmie nic dać na żandarmeryę, — ale dość na dziś. Coś wrony kraczą i biją się w obłokach, — zapowiedź śniegu, a więc do widzenia na ponowie.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Z Lisowic, 7. listopada 1903.

Jak w przeważnej części kraju, tak i w Lisowicach, tegoroczny ciąg słonek zaliczonym być może do najobfitszych; ciąg ten był jednak kapryśny: chwilami ptaki zjawiały się bardzo licznie w pewnych jednak tylko częściach kniei — później przenosiły się z miejsca na miejsce a zwłaszcza do gęstych kultur szpilkowych, po znacznem oziębieniu się temperatury. I nic dziwnego esień nie mniej była kapryśna; po wybitnej posuszeprzyszła zimna słota, zakończona śniegiem przy czterostopniowym mrozie w dniu 20. października, Śnieg ten utrzymał się trzy dni, słonki jednak nic sobie z tej przedwczesnej zimy nie robiły a brodząc w śniegu, czuły się w swoim żywiole — przeczuwając zaś długą jeszcze ciepłą jesień, nie odciągnęły, dając się jeszcze spotykać w pierwszych dniach listopada.

Polowano jedenaście dni, począwszy od dnia 13-go października o wyniku najświetniejszym, bo o 133 słonkach ubitych, czego dotąd roczniki lisowickich łowów nigdy nie wykazały — najlepsze bowiem rezultaty słonczych polowań w roku 1900 i 1901 szczyciły się rozkładem: pierwszy 131 a drugi 127 słonek.

Miarodajnym czynnikiem obfiteści ciągu, będzie jeszcze uwaga, iż z ogólnej liczby dni polowania zaledwie 8 przypada na prawdziwe prześladowanie słonek, a nadto, iż rozporządzaliśmy tym razem słabym kontyngentem myśliwych, polując przeważnie w ośm strzelb.

Ciekawą jest statystyka słoncza tej jesieni, stwierdzająca wybredność długodziobych ptaków: oto bowiem, podczas gdy, mając możność polowania na przestrzeni z górą 30.000 morgów, prawdziwie dobry ciąg zastaliśmy tylko w jednym około 300 morgowym rewirze i ten jeden rewir, czterokrotnie opolowany, obdarzył nas rozkładem 80 słonek — reszta zaś przypada na inne leśne obszary, w których słonki, już tylko sporadycznie się ukazywały.

Na rykowisku ubito jelenia dwunastaka o bardzo pięknym wieńcu: objętości pnia 17 cm., wysokości 010 cm., rozpiętosci 97 cm.

Na łowy poważne nie wiele czasu starczyło; przecież rozkład 13 dzików na czarnej stopie do poślednich nie może być zaliczony — w tej liczbie dwa grube odyńce.

Lisy pracują dalej dla nazwy swej ojczyzny: padło ich bowiem 43.

Ogólny zaś rozkład przedstawia się, jak następuje dzików 13, rogaczy 11, lisów 43, zajęcy 72, cietrzewi 1, jarząbków 15, słonek 133, jastrzębi 7, sów 5. — Razem sztuk 300, na 894 strzałów. *A. K. W.*

Rosianówka, 7. listopada 1903.

Zewsząd już do Łowca napływają relacye z tegorocznego ciągu słonek, czas więc i mnie zdać rachunek. Tegoroczny ciąg można zaliczyć do najpiękniejszych ciągów, bo to i długi i obfity. U nas zaczął się 19. września i trwał aż do 4. listopada, główny jednak ciąg zaczął się 14. października i trwał nieprzerwanie do 30. października. Przedtem i potem ciągnęły wprawdzie słonki, ale pojedynczo. Niestety miałem bardzo mały teren polowania, gdyż lasek 7-morgowy i łąkę pokrytą łozami coś około 14 morgów, a i czas nie zawsze dopisywał, pomimo tego na tym szczupłym obszarze zabiłem 81 słonek. W roku 1900 na tym samym terenie padło 70 słonek, a w przeszłym roku 3. Polując już dość długo na słonki i prowadząc bardzo skrupulatnie dziennik myśliwski zrobiłem dość ciekawe spostrzeżenie, nie oparte wprawdzie na żadnej pewnej podstawie, może przepadkowe, a jednak osobliwe: Ciąg słonek, mam na myśli piękny ciąg, powtarza się w naszej okolicy regularnie co 3 lata; mieliśmy piękne ciągi w roku 1882, 1885, 1888, 1891, 1894, 1897, 1900, i tegoroczny 1903. Może jeszcze kto z panów myśliwych zauważył to zjawisko, czy też tylko przypadkowo wypadło tak w naszych stronach. Pomimo tego jednak, że jest to tylko moje specyalne spostrzeżenie, jestem prawie pewny, że w 1904 r. będzie słaby ciąg, 1905 prawie nie będzie, a 1906 znów do słonek będziemy strzelali. Chociaż nie gniewałbym się, gdybym się omylił, i na drugi rok ciąg był podobny do tegorocznego. Chcąc po raz ostatni tego roku zapolować z psem, poszedłem 3. listopada na błota, wprawdzie przyniosłem 6 kaczek i 19 kszyków do domu, ale taki kaszel i katar do tego, że już więcej nie próbowałem chociaż kszyków dużo, i oblane ogromnie, dobrze przed psem dosiadują. Wogóle jednak kszyków było mało, przepiórek nic, chruścieli bardzo mało, kuropatw nie wiele.

Adam Maniewski
delegat tarnopolski.

Podkamień.

Na tegorocznem jesiennem polowaniu w Lisowicach ubito: dzików 13, rogaczy 11, lisów 43, zajęcy 72, cietrzewia 1, jarząbków 13, słomek 133, sów uralskich 5, jastrzębi 4.

Tegoroczny ciąg słomek do rzędu wyjątkowych może być zaliczonym, a szczególne, jak te długodzioby z odlotem się nie spieszą, gdy w Żurawnie u p. Antoniego Skrzyńskiego, ostatniego października i w pierwszych dniach listopada zabiliśmy ich 68. *L. Starzeński.*

Makuniów, w listopadzie 1903.

(Stan zwierzyny. — Stosunki łowieckie. — Ciągi słonek. — Polowania błotne. — Rzadki gość. — Wykaz zabitej zwierzyny.)

Z tęsknotą w sercu i w duszy biorę dziś za pióro! Z tęsknotą za temi chwilami wrażeń i rozkoszy, co mi

nęły jak jakiś sen czarowny, jak ciepły ostatni powiew wieczornego wiatru przed długą zimową nocą, jak uśmiech czarowny kobiety — z tęsknotą dziś piszę, bo te chwile minęły — a tak prędko nie wrócą; szczęśliwy, kto je wyzyskać mógł i potrafił, kto czerpał pełną czarą z tego strumienia wrażeń i rozkoszy!

Mam tu na myśli tegoroczny wspaniały ciąg słonek!

Zanim jednak przyjdę do tego tematu, chciałbym pomówić i o poprzednich polowaniach tegorocznych, by chronologicznie omówić cały tegoroczny sezon naszych łowów, oraz dać obraz tutejszych stosunków myśliwskich.

Niestety, smutny to i nie wesoły obraz! Z wyjątkiem sarn, których stan jest dość zadowalniający, innej zwierzyny u nas prawie nie ma. Nie pamiętam roku, w którymby tak mało było tu kuropatw i zajęcy, jak w obecnym.

Na wiosnę widywałem często parki kuropatw u siebie i cieszyłem się nadzieją, że stan ich odpowie moim wymaganiom i nagrodzi mi trudy, jakie długo dla rozmnożenia tych jedynych przedstawicieli naszych kuraków w tych stronach ponosiłem — niestety nadzieje zawiodły najzupełniej! Stadka bardzo nieliczne się wychowały a składały się w większej części ze starych zeszłorocznych kogutów. Nic nie pomogło tępienie bocianów, psów i kotów — prawda, że i lisów było tego roku tutaj dużo, bo zeszły się na myszy, które nas tu o mało nie zjadły zeszłej jesieni, ale przypuszczam, że słoty wiosenne były głównym powodem tego nieurodzaju w kuropatwim rodzie.

Co do zajęcy, to wolę o nich nie pisać, bo kto ma takich sąsiadów, jak ja, w graniczącym ze mną powiecie rudeńskim, ten powinien wogóle dać za wygrane wszystkiemu, co się w jego rewirach łowiectwa dotyczy. Nieznany im jest ani czas ochrony, ani rodzaj i płeć nie ma dla nich znaczenia — nieznaną im jest nawet ze słuchu jakakolwiek etyka sąsiedzko-łowiecka!

Muszę tu całkiem bezstronnie zaznaczyć, że w dobrach Nikłowickich hr. Skarbkowej, jakoteż w Dytiatyczach dobrach P. Brykczyńskiego, zwierzyna troskliwej doznaje opieki — ja również robię co mogę, by przynajmniej to zaszanować, co mam — to jednak są daremne wysiłki, bo sąsiedzi moi w promieniu milowym, to po większej części ludzie, którym jakakolwiek tradycya i obowiązki łowieckie są zupełnie obce.

Oto obraz naszych stosunków łowieckich, smutny a tem smutniejszy, bo beznadziejny!

Słonek na wiosnę mieliśmy niedużo, a główny ich ciąg przypadał według moich spostrzeżeń między 25. marca a 5. kwietnia. Zato w jesieni zaroiły się niemi nasze laski. Było ich mniej jak w r. 1900, jednak dosyć, by najwybredniejszych zadowolnić. Ciąg ich rozpoczął się bardzo wcześnie, bo już koło 20. września, najsilniejszym był między 15. a 20. października a trwa do dzisiaj, chociaż znacznie słabszy. Polowałem na nie raz na śniegu. Oryginalne wrażenie robiło widzieć zrywające się słonki na tle zupełnie zimowego krajobrazu, wśród gęstej zadymki, zrywały się niechętnie, leciały ociężale i zaraz zapadały, by się już drugi raz zupełnie nie zerwać. Siedziały u' mnie po największej części w gęstej olszynie a w miotach, dotąd specyalnie słonczych, zupełnie ich nie było. Dlaczego, nie wiem. Przyroda to tajemna księga, której nikt nie zbada.

Kszyków miałem mnóstwo tego roku na dzierżawionych przezemnie błotach — co najlepiej poświadczy podany niżej spis zwierzyny.

Przepiórek było jeszcze mniej jak zwykle. Miałem też w lecie gościa nielada. Dzik jakiś, widać pustelnik-anachoreta lub wyklęty z grona dziczego społeczeństwa, do mnie tu zawitał i pędził cichy żywot kilkutygodniowy w 60 morgowym łanie dworskiego żyta, później zaś w gąszczy leśnej, z której co wieczór na łąkę wychodził i jak sarna po niej uganiał. Na takiej raz wycieczce spotkał się ze mną oko w oko i wrócił z niej już nie do gąszczy lecz na wózku do spiżarni ku niesłychanej uciesze całej wsi — bo takiej bestyi, jak dzika, jeszcze tu najstarsi ludzie nie widzieli.

Ucichły nasze kniejki od licznych i wesołych strzałów. — Jesień złotowłosa pomknęła w dal na skrzydłach żórawi. Zima idzie ku nam i ścieli już sobie łoże szarą przędzą chmur z mgieł. Zgasł blask srebrnych run pajęczych — ucichł ostatni klangor spóźnionych ptaków — w sercu zeszła bujnym kwiatem tęsknota za tem co minęło — za tymi cudnymi tonami wszystkich barw i odcieni, jakich nam tylko nasz cudny październik dostarczyć może! Żegnaj nam cudna polska jesieni, złotowłosa bogini, czarodziejko pełna niespodzianek i tajemnic, żegnaj! Od tęczowych kras, jakiemi stroiłaś przez miesiąc nasze lasy, zatliły tęcze w naszych sercach, tęcze nadziei i wspomnień tęcze!...

Wykaz zabitej zwierzyny w strzelb 2, na rewirze własnym i przezemnie dzierżawionym, razem około 3500 morgów, (w tem lasu 300 morgów, błót 500 morgów), od 1. marca do 31. października 1903: dzik 1 kulą z Mausera, rogaczy 8 kulami, zajęcy 10, kuropatw 27, przepiórek 37, chruścieli 30, dubeltów 3, kszyków 280 w dniach 15-stu, kaczek 3, kulików 26, słonek 24, lisów 1 kulą z Mausera, psów 7, kotów 8, jastrzębi 6, bocianów 7, ptactwa szkodliwego 32. Razem 510 sztuk.

Albert Mniszek,
delegat mościski.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**